



830
Cena złp. 1.

RBIEC POLSKI

Teofil Lenartowicz.

BRANKA



WARSZAWA. 1916.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI W. JAKOWICKIEGO
BRACKA 10.

41. 3

891.74-1.

Nr. 19.

SKARBIEC POLSKI

Teofil Lenartowicz.

BRANKA



WARSZAWA. 1916.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI W. JAKOWICKIEGO
BRACKA 10.

891.74-1.

Nr. 19.

SKARBIEC POLSKI

Teofil Lenartowicz.

BRANKA



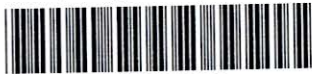
WARSZAWA. 1916.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI W. JAKOWICKIEGO
BRACKA 10.



254222

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0113779

W-60/2001

Za zezwoleniem niemieckiej cenzury wojennej 20/1 1916 r.

Druk W. Piekarniaka, Warszawa, Okólnik 5A (za Cyrkiem).

10,-

PRZEDMOWA.

Upadek powstania listopadowego rozpoczął nową erę w dziejach porozbiorowych Polski. Stał się on nie tylko początkiem zupełnej likwidacji jej odrębności od Rosji, ale i początkiem krwawego prześladowania żywiołów, które prędzej czy później mogły być opowiedzieć się za tą odrębnością i podjąć na nowo hasło niepodległości narodu.

264 zaoczne wyroki na wodzów i uczestników powstania, wcielenie na lat 15 do armii rosyjskiej powracających „na mocy amnestji” żołnierzy byłego wojska polskiego, konfiskata 2349 majątków w Królestwie, a 2890 na Litwie i Rusi, nałożenie na Królestwo kontrybucji w wysokości 22 milionów rubli z jednoczesnym obowiązkiem utrzymywania 100.000 armji rosyjskiej w kraju, zamknięcie uniwersytetów w Warszawie i w Wilnie, liceum w Krzemieńcu, Towarzystwa Przyjaciół nauk i większości szkół średnich a nawet elementarnych, wreszcie zarządzenie w roku 1832 przymusowego poboru 20.000 rekruta — oto pierwsze tylko czarne litery na karcie dziejów długiego łańcucha lat, które wypełniły okres od roku 1831 do r. 1861.

Okres ten nosi miano Paskiewiczowskiego, od nazwiska wielkorządcy, który był wiernym i ślepym wykonawcą reakcyjnych zamierzeń cesarza Mikołaja I.

Wycieńczony, pozbawiony najlepszych swych sił, które poszły na tułactwo, przybity dziesiątkami tysięcy tragedji ro-

dziennych, zdeptyany w swoich prawach, w swojej godności i w swoich najświętszych ukochaniach, naród wydany został na łup ciemności, gwałtom i złej woli, ukrywającej się pod płaszczem służalczej uległości. Donosicielstwo, serwilizm i upodlenie — oto codzienne wówczas zjawiska na niwie życia polskiego aż do chwili kiedy tlejące w popiołach iskry rozdmuchał nowy podmuch dziejowy, zwiastujący „wiosnę ludów“ zbuntowanej przeciw ciemnościom Europy.

Ruch lat 1846 — 1848 zastał Królestwo Polskie w dobie odrętwienia i apatii, w których ponurem tle ogólnem jasno zarysowują się postacie „entuzjastów“, oddanych pracy patriotycznej.

Budząca się w społeczeństwie reakcja przeciw uciskowi, musiała wywołać szereg ostrych represji ze strony rządu. Rozpoczęły się aresztowania, deportacje i emigracje. Mniej szczęśliwi wędrowali „utartym szlakiem“ „pod broń“ do słynnych batalionów nad Uralem, albo na Kaukaz, gdzie krótko ostrzyżona głowa i szary szynel żołnierski zacierały w nich zewnętrzne cechy polskości, szczęśliwsi — uchodzili za granicę.

Do tych ostatnich należał wdzięczny śpiewak mazowiecki, Teofil Lenartowicz.

Urodzony w Warszawie dn. 27 lutego 1822 r., w r. 1848 otrzymał był właśnie długo oczekiwaną posadę pomocnika referenta wydziału cywilnego w rządowej komisji sprawiedliwości, gdy przekonawszy się pewnego dnia, że znajduje się na liście osób, do aresztowania wskazanych, postanowił opuścić kraj rodzinny.

Karol Brzozowski, towarzysz młodości Teofila, opisuje żywo ową stanowczą w życiu obu poetów chwilę, kiedy, żegnając ojczyznę na zawsze, przekradali się przez granicę. Było to dnia 18 sierpnia 1848 roku. Przy pomocy gospodarza z Rząśnika, Lenartowicz i jego dwaj towarzysze, przedzierając się lasami lub brnąc w morzu piasków, przedostali się do Narwi, którą w łodzi rybackiej przepłynawszy, przesunęli się szczęśliwie około Ostrołki. Lenartowicz na pograniczu padł na kolana i ziemię całował na pożegnanie, a następnie garść

jej zawiązał i, złożywszy ją na piersi, nosił przy sobie, za szkaplerz. Z tą garścią ziemi rodzinnej poszły za nim także wszystkie bóle i troski tej ziemi, o których nigdy na obczyźnie nie zapomniał. Przepoiły go one prostą, szczerą poezją. Odgłos ich dźwięczy wyraźnie i w „Brance“, ogłoszonej po raz pierwszy drukiem w 19 lat po opuszczeniu kraju, w roku 1867 w Poznaniu.

Opowiadanie to jest echem spraw przeżytych i rzeczy widzianych. Podkładem jego jest rzeczywistość polska — młody ruch demokratyczny, praca nad oświatą ludu, przesładowanie za tę pracę i tragedia, jaką pociągała za sobą dla Polaka służba w wojsku rosyjskiem, tragedia dziś tak aktualna, że uwydatniać ani podkreślać jej nie potrzeba.

„W liście krótkie były słowa, małoznaczna wzmianka:
Wszystko idzie po staremu, strzeż się, będzie branka.
Wartoby rozpuścić szkółkę tę tam twoich kmieci,
Bo dziś, jutro do powiatu anioł stróż przyleci.
A wiecie wy, co to branka? to krwawy podatek,
Który rok w rok Sybir bierze z nadwiślańskich chatek“.

Dwadzieścia pięć lat przebytych w wojsku w czasach Mikołajewskich, to połowa, a w większości wypadków całe życie, spędzone zdala od ojczyzny, oddane nie dla niej, a często przeciw niej. Ten właśnie motyw przez wysokie swoje napięcie tragiczne pociągnął Lenartowicza. Bohater jego, oderwany od boku oblubienicy, uroczej wiejskiej dziewczyny, której postać jest symbolem pojednania się chaty z dworem, stanu kmiecego ze stanem szlacheckim, wtrącony do więzienia, a następnie oddany do wojska, znalazł się w armii rosyjskiej na Węgrzech w pamiętnym roku 1849, kiedy cesarz Mikołaj pomagał młodziutkiemu wówczas cesarzowi Franciszkowi Józefowi uśmierzyć powstanie węgierskie.

Jan z oddziałem swoim stanął pierś w pierś z legionem polskim, który walczył po stronie Węgier. Ale:

„Nie pod każdym burym płaszczem siedzi dusza bura—
Spojrzyj jeno, jak łyzy płyną, jak cięży ta skóra“...

„Krwawe życie, straszne życie, a kto je wypowie?
Ciężkiej doli, naszej doli nie wygada w słowie“...
„Leży żołnierz na zagonie, krew wyciekła z rany,
Obrazek mu Matki Boskiej widać z pod sukmany,
Na blasze się pozostała reszta złota blasku,
Oj, poznali nasi bracia brata po obrazku.
Smutnem okiem spoglądała dzielna wiara nasza,
Wyciągnęli mu ładunki bracia z patronaśza,
Wyciągnęli, popatrzeli na ładunki one,
Proch posypał się z papieru, kule odgryzione,
Znać ślepemi ładunkami do swych braci strzelał,
Zginał, zginał polak prawy, bratniej krwi nie przelał“...

W momencie tym, wyrażonym niesłychanie prosto, bez uciekania się do efektów, potęgujących grozę chwili, poezja Lenartowicza wznosi się do rzadkiej u niego wysokości i do rzadkiej mocy wyrazu.

Dzięki temu „Branka“, aczkolwiek nie jest utworem, skonstruowanym bez zarzutu, zdobyła sobie trwałe miejsce w skarbcu polskiej poezji martyrologicznej, i jako taka, godna jest przypomnienia, zwłaszcza w dniach, kiedy podobnych tragedji tak wiele było i jest na ziemi naszej.

Z. Dębicki.

*Kto siał w płaczu żnie w radości
Nasza siew była w gorzkości...*

Jan Kochanowski.

I.

Stoi karczma na gościńcu, podwaliny pod nią,
Czerwienie na wiatr niebo nad stroną zachodnią.
Na pagórkach drzemia w dali pochyłone chaty,
Wiatr po niebie chmurki nosi, gdyby krwawe szmaty.
Od topoli nadwiślańskiej woń jesienna wieje,
Na gałęziach liść ostatni w powiewach się chwieje.
Oj trzyma się listek drzewa, pokąd może trzyma,
Aż zamiecie nim po świecie niezblągana zima.

Przed karczmisskiem na kamieniu usiadło dziadosko,
Zadumał się lirnik stary nad rodzinną wioską.
Każdy kamień mu znajomy nad polem nad smugiem
Przy tym gadał, na tym siadał, o ów tracił plugiem.
Czas przeleciał niewstrzymany, popsuł, poodmieniał,
Lirnik zsiwiał poterany, kamień pozieleniał
Żóraw wisi jak przed laty, zagłada do studni,
Jeno konik upragniony zdala nie zadudni,
Ani furknie chorągiewka, hułan nie przeleci.
Hułan śmiały, konik biały, pociecha dla dzieci.
Depcą woły czarną rolę na jesienne siewy,
Chłodne wody stoją w dole od nocnej ulewy.
Co powieje wiatr zachodni, drobne fale zbiera,
Co zaskrzypi topól stara, oczy dziad otwiera.
Po łachmanach wiatr powieje, dziada przejdą dreszcze,
Oj wy piękne dni majowe! ujrzyć ją was jeszcze?

Zaszło słońce nad lasami jak ta stara grusza,
Co samotna stoi w polu, jak sieroca dusza.

Poszarzały siwe wzgórki, mgły się gęste kłębią,
Przelatują zimne wiatry, co po kościach ziębią.
Idą ludzie do karczmyska w zimie, czy w jesieni,
Czapka na bok przewieszona, a ręce w kieszeni.
Wesołemu to na ucho, smutnemu na oczy,
Smutki garną się na głowę, czapka je przytłoczy.
A gdy troski się podzieją, przejdzie zawierucha,
Czapka chadza wnet koleją od ucha do ucha.

Za stołami siedzą starzy i coś sobie rają,
Powiadają sobie ludzie, co na sercu mają.
Temu cięża stare lata, radby się odmłodzić,
Chciałby chodzić po dawnemu, nogi nie chcą chodzić.
Tego bieda przydybała, sroga, sucha jęzda,
Osiodłała gospodarza, nogami popędza.
Na frasunek dobry trunek, dobra kapka miodku,
Nie głęboka kwatereczka, a tonie na spodku.
Jeden z drugim rzędem długim a dziad u ogniska
Zapatrzył się w suche drzewo, co iskrami pryska.
Grzeje zęby dziadowina i kościaste dłonie,
Włos rozwiany, potargany, gdyby gniazdo wronie.
Pierś wychudła, szmat od szczudła jak pakuły broda,
Rozsiada się dziad u ognia jakby wojewoda.
Z pod brwi gęstej, połysk częsty z szarych oczu strzela,
Ciepłem piwskim i ogniskiem starość rozwesela.
Lira jego koło niego, co ją rady kręci,
Stare pieśni narodowe w sercu i pamięci.
Często za nie pokutował po moskiewskich kozach,
Lecz on pieśni umiłował za młodu w obozach.
I skorupka trąci stara, czem z młodu nasięknie,
Obróci się dziad dokola, po dawnemu brzęknie.
Czy k'Warszawie ściąga żwawie, czy na step podolski,
Śpiewaj stary litanie do Królowej Polskiej. —
A skądże to dziadku droga?... Z Polski, z Litwy, z Rusi:
Kęś po świecie duch się miecie, to i człowiek musi.
Głuchym jarem, w polu szarem schadzam długie drogi
Utraciłem w polu nogę, szukam mojej nogi:
Oderwała mi ją kula przy samem kolanie,
Została się na zasianie na ojczystym łanie.
Nie żałuję mojej nogi, co ją krucy kołą,
Nie żałuję ran po ciele, co mnie na deszcz bołą.
Jeno tego człeku smutno, że niema szczerości,
Jak się spojrzę po ojczyźnie, zamróż idzie w kości.
A złe szepce, wkoło depce, choć się człowiek broni;
Dawniej była dłoń na sercu i serce na dłoni,

Dziś oczami pono z łzami pocziwość wyciekła:
Albo słudzy, albo cudzy, albo rodem z piekła.
Chcesz pokręcić swoją lirę, to jak wilk cię zmierzy,
A dziad grzeszny myśli sobie, może i niewierzy:
Dużo niemców naściagało, niemce cudzoziemce,
Może nasze polaczyska poszyły się w niemce?
Katarynki przygrywają od Czerska do Warki,
Po karczmach się rozsiadają niemieckie karczmarki.
Jeno ptaki przysiewują po dawnemu w lesie,
Jeno chmury przelatują po dalekim kresie...
To i lepiej stare oczy powlóczyć po piasku
To i lepiej słuchać wichru i wroniego wrzasku!...
Rzekł — i spuścił siwą głowę, a kościastą rękę
Oplecioną na sakiaku podsunął pod szczękę,
I to wążem ruszył siwym, to brwiami nad czołem;
W kątach starzy gospodarze wzdychali za stołem. —
I było tak dobrą chwilę, dziad jak siadł tak siedzi,
Wpatrzył w oczy w swoich ludzi, czeka odpowiedzi.
A byłoby o czem gadać! słówka w język szczipią,
Aleć oto do karczmyska stare drzwi zaskrzypią,
I wsunęło się dziewczátko, wicher tem szamotał,
Blade usta się ruszały, każdy zęb dygotał,
Z pod płachiny dwie rączyny czerwone jak raki...
A kto w Polsce nie nadybał sieroteńki takiej?
Za gąskami pędzą w pole, gąska szczipie trawę,
A dziecina na mogiłki syła oczy łzawe.
Bose nogi, koło drogi siedzi sobie z witką,
A od wiatru się powija, jak to boże żytko.
Weszło dziewczę do gospody, przystańo w kątku,
Dobre oczy, ludzkie patrzą po dziewczátku.
Jaki taki patrzy na nią, nikt się nie pożali...
Świśnie piórkiem jaskółeczka i polecą dalej.
Tak i ludzkie dobre chęci... jaskółki nad stawem,
A biednemu żyćby trzeba! jeno jakim prawem?..

Postąpiło do ogniska grzać te ręce małe,
I te nogi powilżone, zziębłe, pograbiące.
Biedne dziecko! miły Boże, wśród wiejskiego tłumu
Śmiało się to do każdego... niespełna rozumu,
Bo co się tu śmiać do ludzi, co wicyny plotą.
Nie śmieje się do nikogo sieroto, sieroto!
Ej nie tacy znowu ludzie a do tego prości,
To daj Boże ubogiemu do ubogich w gości.

Zahukane, zabiedzone, sieroco, nieśmiele
A jedno dziecko po rekrucie siadło na popiele.

I poczęło śpiewać głośno pocierając czoło,
Piosnkę strasznie niewesołą na nutę wesołą:
Oj pogonia ich, pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonią dzwony Kołomyi...

— Jak to sobie przypomina niedolę ojcową, —
Wtrącił słówko Szymek leśnik potrząsając głową
Jak jagniaki obsadzone ubogie dziecięta,
Niczego to nie rozumie, a wszystko pamięta.
Popędzili ojca z chaty, będzie rok na gody,
Na nic mu się nie przydały dowody, wywody,
Matka roku nie pożyła, takie to roboty,
Matki niema, ojca niema, bieda na sieroty.
Przytuli się do matuli, a matulka chłodna:
Wstańże rychło matko miła, bo sierotka głodna...
Jedna bieda, druga bieda, zle do oczu skacze:
Kto przepłaczę swoją biedę, a kto nie przepłaczę;
Temu ściecze łza po oku, temu serce gniece,
A niedola z cicha gwarzy: oj bieda na świecie! —

Wyciągało dziewczę małe, jak dzwonek w ustroni,
Co choć dzwoni nad cmentarzem, sam nie wie co dzwoni.
A ludzie się przyciszyli zasłuchani cali,
Jak to ona sierotka śpiewając się żali.
I śpiewało, tak śpiewało, aż huk jakby młotu
Rozleciał się po chałupie podobny do grzmotu.
Czarny kowal wyciał w deskę, aż we dwoje pękła,
I dziadowska lira stara echem odebrzękła.
Wszystkich oczy się zwróciły, żebrak okiem błysnął,
Łzy mu darły się do oczu, płacz zębami ścisnął,
I potoczył się do stoła zajrzeć w oczy czelce,
Rękę oparł na kowalu i: Bóg zapłać! — rzecze.
Hej kowalu, ty kowalu, niech wam Pan Bóg szczęści,
Przypomniałeś mnie dziadowi grzmot krakowskiej pięści:
Raclawice, Końlenice, Końskie i Dubieńkę!
Nie po leku grzmisz człowieku podajże mi rękę! —

Na dziadowskie powiadanie, jakby trusia cicha,
Posunęła się ku dziadu matka kowalicha:
— Zmiłujcie się przyjacielu, nie gadajcie o tem,
Bo chłopisko moje, człeku, nie żartuje z młotem. —
— Nie żartuje! kowal krzyknie: gospodarzu wódki!
Co się myśli, to się myśli, a gęby na kłódki,
Bo to teraz chodzą szpiegi w dziadowskiej opończy...
Chroń cię Boże, stary dziadu, bo się źle zakończy:

Wytrzęsę ci twoją duszę, jak wróbla z pod strzechy!
Spojrzał kowal po chałupie, rozległy się śmiechy;
Zaśmiała się karczma cała i dziad śmiał się z niemi,
A rękawem łzy ocalał siedzący na ziemi.
Własna krzywda nie bolała, głupie ludzkie gadki,
A cała się dusza śmiała, jak na rękach matki.
Za wesołych parobczaków dziad pacierze szeptał,
Śmiał się, cieszył, jakby pole Raclawickie deptał.
Zgadnijże tu, co zaboli, a co rozraduje:
Jeden człowiek swoje czuje, drugi cudze czuje;
Ha dogryżlim dziadowinie, kwatereczka sucha,
Jak poczuje, posmakuje, to się udobrucha.
Smaruj piersi, miły czelce, tym syconym miodem,
Stary miodek pachnie lipą, piwko pachnie słodem.
Nie taki to kowal srogi, choć dmucha jak z miecha.
Hej! dziadoro wstań na nogi, zaśmiała się strzecha.
Dziad wyciągnął dłoń do góry, chciał się dźwignąć duchem
Kowal patrzył opasany skórzanym fartuchem,
Raz na dziada, raz na dziecko, na te polskie biedy,
Za serce go coś porwało, sam nie wiedział kiedy:
Bo i żebrak śmiał się k'niemu i sierotka pięknie,
A tu serce kowalowe, jakby w ogniu mięknie.
Zadumał się smoluch wiejski i zapomniał słowa,
Z silnej ręki mu wypadła ukuta podkowa.
Podniósł, westchnął, otrząsł głowę, jakby od szerszeni,
Aż tu gwary wiejskich dzieci rozległy się w sieni.
Za oknami drobnouchnemi, co ogniem zerkają,
Czepiają się małe dziadki, w okna zaglądają.
Pokrzykują przed chałupą głosy dziatwy trwożne,
Ćwierku, ćwierku pod oknami, jako wróble drożne.
Z za chałupy dolatały od gościńca krzyki,
Końskich kopyt kłopotanie i skrzypienie bryki —
Dolatały głosy zdala, jakby ludzkie jęki,
Jakby świstał bat, co wisi u kozackiej ręki.
A czyż to kmiecie plecy ruski bat nie kroił?
Dziad w kowala bystre oczy jak pazury wpoił,
Szukał, macał w koło siebie, na prawo, na lewo:
A gdzie moja druga noga? oj drzewoż to drzewo! —
Kowal wejrzał naokoło, jakby ludzi zgarniał:
Będzie ja tu z wami siedział, bodajżem ja zmarniał! —
Rzekł i we drzwi kopnął nogą, aż odpadła glina,
Czy też jeszcze się pocieszy stary dziadowina?...

Ludzie z karczmy się ruszyli, żal za serce imie,
A sierota przy ognisku napół widna w dymie,

Z zapadniętem, ciemnem okiem, potarganym włosem,
Zaśpiewała swą piosenkę przychrypniętym głosem:
„Oj pogonia ich, pogonia z powrozem u szyi,
Już im więcej nie zadzwonią dzwony Kołomyi“.
Dziad opuścił siwą głowę, lirę precz odrzucił,
Jak gdyby się z oną lirą po pijanu kłócił.
Po chałupie niema głuśza w ciemnych kątach siada,
Jeno w cieniu w ucieszeniu polska nędza biada.
Rozpacz ściska stare kości, do ziemi je wtłacza,
W grób się toczy stara nędza, młodość nie rozpacza!
Niech się święcą młode lata, parobczańskie dłonie:
Rosną dęby na wygonie, polecimy po nie!...

Zrozumieli młodzi ludzie dziada powsinogę,
I w cichości z ciekawości wybiegli na drogę.
A dziad gwarzył sam ze sobą: — zapomnieli brata!
A gdzie moja ludzkie nogi... Bednarczyków chata? —
Bednarczyków? podchwyciła niewiasta z zapiecka,
Może Staśka Bednarczyka? znałam go od dziecka. —
Tak prawda matka stara, żołnierz nie uważał:
Nędza stara, młodość wiara!... do siebie powtarzał.
Ażec naraz, cicho! krzyknął, uchem głos załowił,
Na gościńcu krzyk daleki starego odnowił.
Rzęko! dzwignął się na nodze przyprawionej z drzewa.
Ptaszek słucha na gałęzi, zkąd mu wiatr powiewa:
Wieje wietrzyk od rodziny, od gniazda od dzieci,
To zaśpiewa sobie ptaszek, wesoło poleci.

Na gościńcuż bo zawrzało, wzięli ich w obroty,
Puścił kowal srogie pięści, kowalskie dwa młoty,
Za kowalem parobczaki, a choć chmurna nocka.
Sprawnie grzmiała pod karczmiskiem narodowa młocka.
Była wrzawa, bójka krwawa skończyła się rychło:
Wejrzał stary przed chałupę, wszystko już przycichło.
Tylko w dali, ku lasowi, po szerokiem błoniu,
Ku granicy człek pomykał na kozackim koniu,
Jeno jeszcze ludzkie głosy słycać było zdala,
Parobczaków głuche gwary i klątwę kowala.

Hej nie biada żołnierzowi, kiedy w bęben grzmocą,
Nie pocieszył Pan Bóg dzionkiem, to pocieszył nocą.
Wszedł w gospodę, musnął brodę, utkwiał kij sekaty,
I zawołał na sierotę stojąc w progu chaty:
Pójdź sieroto na wędrownkę, będziesz dziada wodzić,
Pójdź sieroto, po ojczyźnie będziem razem chodzić. —
I dziewczątko się ruszyło, przywykłe gdy każą,
Popatrzyło się na dziada miłosierną twarzą,

I jak gdyby w starca głosie brzęknął głos matczyny,
Jako ptaszek do odlotu podniosła rączyny.

Szczęść wam Boże, szczęść wam Boże, brzękło od polepy
Dla dziewczyny, sierociny, słówko baby ślepej;
Deszcz się puścił, jakby z cewki, gęsta cma na drodze,
Bieda rusza, wiatr przygłusza, szczęść Boże, szczęść Boże!

Znaną ścieżką, przez zagony, ku drodze dalekiej
Idą, idą dwie sieroty brzegiem szumnej rzeki.
A w karczemce opuszczonej przed chłodnym popiołem
Szepce stara pacierz cichy z pochyłonym czołem;
Szumią wierzby na gościńcu, szumi wiatr jesienny,
I ze ściany zadymionej ćwierka świerszczyk ścienny.

II.

Szybko leci rok po roku jako liście z drzewa,
Owo śliczny ogródeczek a w nim cudna dziewa.
Sukieneczka na niej biała ubrana we sztafki,
Chodzi sobie po ogródku czytająca z książki.
Lica białe, rączki małe, włos jako len czysty,
Na jej główkę rzuca słońce ten promień złocisty.
One usta uśmiechnione, jak niebo w zaranie,
I chodzi to po ogródku takie to kochanie.
Róża biała aż się prosi do dziewczęcej ręki,
Co gdy słodko się rozśmiej, robią jej się wdzięki.
Coś to niby jak znajoma, gdy się patrzy w ciebie,
Zdaje ci się żeś ją widział, ale chyba w niebie.
Zorza pada, nad łąkami czyste niebo gorze,
Halka zorzę pozbierała, okryła się w zorze,
Boć to nasza Halka miła, sierota rekruta
Przygarnięta w pańskim dworze rośnie jakby ruta.
Przygarnęli dobrzy ludzie sierotę ubogą,
A dziś jej się nadszawoć, natchwalić nie mogą.
Cztery lata ją zmieniły do nierozpoznania,
Wyplekniła, wybielała, wyrosła jak lania.
I ślicznie jej w białej sukni i we wstążek pasie,
A sierockie, biedne czasy ledwie w snach jej śnią się.
Pożywienie temu niosą, jak ptaku do dziobka,
I któżby się tam domyślił, że to biedna chłopka.

Dziś od rana kwiatki siała w swej zagrodzie małej
Od tej strony mak czerwony, żeby dzieci spały,

Piwonią od kąpiel, a chmielu pod płotek,
Krwawnik od ran dolegliwych, od piorunu grzmotek,
Siała żwawo pochyłona nad zieleni żagony,
Dla pszczoł ziółka melisowe, konopie dla plonu,
I niechętek dla niechętnych na dziewiczy wianek,
Boży-głędek, boży-listek i niepokalanek,
I serdecznik, bogorośle i śliczne ostróżki,
A dla ptaków ptasi-język i bocianie-nóżki.
Siała sobie w ogródeczku w ten poranek złoty,
Suche wrzosa na ból suchy, i chebt na suchoty;
Wonne zioła rozmaite na różne pożytki,
Słoneczniki na ziarenka, trawki, aksamitki,
A każdemu kwiateczkowi rzekała mało-wiele:
Rośnijże mi teraz kwiatku, rośnijże mi ziele.
Mgły jak morze na dolinie jak świat się rozlały,
Las ponury we mgle ginie, pełno rosy białej,
Napoione stoja zioła od nocnej wilgoci,
Wietrzyk chłodny, dzień pogodny szybki w oknach złoci.

Do Jasieńka, lecą złote gońce,
Patrzy w okno sierotnika ciekawa jak słońce.
Ej że też ta młodzież nasza taka nie wesoła,
Posępnego zawdy lica, pochmurnego czoła;
Zadumana, zaszępiła, zawdy coś przemyśla,
Jak te wierzbki rozpuszczone na piaskach Powiśla,
A Bóg ich tam wiedzieć raczy co w ich sercu leży!
Prędziej z wierzbą się dogada niż z którym z młodzieży:
Takie to już przyszły czasy, że młódz spoważniała,
Nie powiedzą o młodzieży, że wiek przeżułała,
Bo dziś przyszło na ostatki, prawdziwe ostatki,
Bo dziś wała saneczkami, ale do Kamczatki.
Młodzian siedział przy stoliku, pióreczko miał w dłoni,
Przed nim mapa polskiej ziemi a on wodził po niej.
Wszystkie miasta naznaczone na jednym papierze:
Zkąd też się to człowiekowi taki rozum bierze?...
Patrzył, mierzył, rozpatrywał swoją mapę znaną,
Aż Halusia zawołała: Panicz wstał tak rano!
Może całą noc przesiedział? jak to czasem bywa,
Choć się pani matuleńka na panicza gniewa;
Młodzian podniósł w górę czoło, uśmiechnął się słodko:
Ha dzień dobry jaskółeczko, pójdź no sam szczebiotko.
Musim sobie przepowiedzieć o czym było wczora,
Wczora główka cię bolała, dzisie już nie chora.
Oj niechce się pannie uczyć, litery nie różę,
Woli panna za żórawiem latać na podwórze.

Już we włosach pełno kwiatków, a w główce pustota,
Pójdź no panna do stolika, zacznie się robota:
Będziem czytać polskie pieśni, ot tylko dopóty,
Matka umie do nich nuty, nauczy cię nuty. —
Zbliżyło się młode dziewczę jak słońce w rumieńcu,
Rozłożyła swoją książkę, siadła przy młodzieńcu;
Ale nie szło jej czytanie, skroń nabiegła żyłki,
Rumieniła się jak maki, czyniła pomyłki,
Chciała wszystko wypowiedzieć, lecz jak wypowiedzieć?
Oglądała się, wzdychała, nie mogła dosiedzieć,
I stanęła przed młodzieńcem, jakby przed obrazem,
Aż westchnienie się wydarło i lzy poszły razem;
Pokłoniła się do kolan i rzekła dwa słowa:
— Paniczeńku najmilejszy, biednaż moja głowa!
Na co mnie się przyda panie, to czytanie z wami,
Kiedy drobne te literki zachodzą mi łzami,
Kiedy zanim oko dojdzie od brzegu do brzegu,
Jak słoneczko na jesieni dusza mi pobiega.
Na niczem mi paniczeńku nie schodzi, nie zbywa,
I niby to ja szczęśliwa niby nieszczęśliwa;
Od lat czterech jak dziad stary oddał mnie na łaskę,
Jak gdyby mi kto na oczy zawiązał opaskę;
Nic nie widzę, nic nie słyszę, jeno wasze słowa:
To dla tego paniczeńku, biedna moja głowa!
Nie lepiej mnie było w chacie z dziewczętami siadać?
Hej! paniczu, paniczeńku, musiałeś mi zadać,
Co ja tylko w ciebie patrzę, jak w tęczę na niebie...
A co się to ze mną stanie, jak nie będzie ciebie? —
— A zkądże ci, Haluś moja, taka myśl po głowie!
Z rozrzuconiem, dobrem sercem młodzieńcem odpowie,
Cicho, cicho gołabeczko, może ty odgadła,
Żeś mi dawno, Haluś moja, do serca przypadła.
Nie taki ja, panno moja, żebym ci zaszkodził,
Nie taki ja, serce moje, żebym ciebie zwodził;
To za roczek, za dwa roku, Halusiu kochanku,
Jak wyuczysz się na książce, wyskoczmy w tanku.
Żadnej u nas niema dumy, żyjemy w gromadce,
To jak przyjdzie czas po temu, poklonim się matce.
Ale uczyć się potrzeba, w tem cała różnica...
Bo już dzisiaj niema chłopca i niema szlachcica,
Jeno temu w główce jasno, a zaś temu ciemno...
No a teraz książka czeka, Haluś, siadaj ze mną. —
Lecz dziewczyna nie słuchała, skoczyła na szyję,
Oczy w oczy zapatrzyła, duszę w duszę wpije,
Szczęściu swemu niewierzająca wciąż pytała rzewno:
Jasiu panie — mój kochanku, ale czy to pewno? —

Oj! bodajto w młodym wieku młode serce zgubić,
Oj! bodajto co dobrego pokochać, polubić,
Oj! bodajto coraz oczy z oczyma spotykać,
Lżać się zlewać, tęsknić, śpiewać, duszą się przenikać;
Czuć jak serce ci zabiera każdy uśmiech skoczek,
Widzieć jak tam lża nabiera w kątach czarnych oczek.
Oj! szczęśliwe młode lata, lata niebios, raju,
Najszczęśliwsi zakochani — tylko nie w tym kraju:
Żaden kwiatek nie zakwitnie by go szron nie zmroził,
Żaden człek się nie urodzi, by mu wróg nie groził.

Pięknie poszło dziś czytanie, wszystko jakby z płatką,
Aż ją za to całowała dobra pani matka;
Bo niech tylko smutek zniknie, niech burza przełuczy,
Czegoż się to od kochanka dziewczę nie nauczy.
Każda dla niej dziś litera rosla jakby kwiecie,
Zda się jedna z drugą w księżce złote rączki plecie.
Gdy tak szczęśli stali troje, na dworze tymczasem
Zaszczekały psy u bramy straszliwym hałasem.
Dziewczę k'onym poskoczyło, gdzie za bżowym krzakiem
Znęcały się srogie psiska nad starym żebrakiem,
Który mężnie patrząc wkóło za złośliwym zwierzem,
Jako muchom tak wesoło opędzał się jeżem.

Widzieli my tego dziada, postać to nam znana,
Noga w szczudle, poszarpana niebieska sukmana,
Przy sukmanie dwa guziki cynowe się biela,
Jako służył Polsce matce przed latami wielą,
Na guzikach polski orzeł w górę wznosi skrzydła,
Osobliwsze szczęście dziada, że nie popadł w sidła.
Na odpustach nierad siada, z dziady się nie miewa,
A gdy szczudło mu odpada, zwiąże i pośpiesza,
Tak, że można na pewnika dziada spotkać w drodze,
Jak okłada polskie mile na drewnianej nodze.
Dziad ten czasem listy nasza z końca kraju w koniec,
A zowie się u młodzieży: narodowy goniec.
Oj poznało młode dziewczę dziada Bednarczyka,
Poznała tę siwą brodę i wesoło krzyka:
Oj szczęśliwyż dla mnie dzionek! — zawołała płocha,
I o mało nie krzyknęła: dziadku, Jaś mnie kocha!
Bo i z kimże zakochany nierad szczęścia dzieli?
Nawet brzozy co wkrąg płaczą, muszą się weselić,
Święty Jan się cieszyć musi, co stoi przy stawie,
Dowiedzą się o jej szczęściu gołębie i pawie
I to słońce nad obłokiem i ten wietrzyk lotny
I ta ziemia poorana i ten krzyż samotny.

Dziad uśmiechnął się k'dziewczyni, jak dziadek rodzony,
I głąkał ją po głowinie szczęśny, rozrzewniony...
Długie włosy złotej kosi, co się w warkocz plotą,
Świeciły mu pod palcami, jakby czyste złoto.
Cudne słońce po nich grało złocistemi blaski,
Ludzkie oko nie widziało takiej cudnej kraski.
Odleciały psy na stronę, jak zakłęte smoki,
Które dziewczę opętało anielskimi wzroki.
Dwa gołąbki podfrunęły z pod bramy na trawę,
Wyciągając szyjki srebrne, ptaszyny ciekawe.
Przed drzwiami, pod wystawą, gdzie z liśćmi topoli
Wciąż łagodny wiatr zachodni szczęśliwie swawoli,
Przed drzwiami, pod wystawą stała matka z synem.
Szczęśna dusza, co się znała z takim ziemianinem!
Zacne było powitanie, jak ludziom przystało —
Kto czei Boga i ojczyznę, poczei głowę białą.
Tem ci więcej, tem goręcej, jeśli Boże zdarzysz
Że do dworu żołnierza przyjdzie, zmarłego towarzysz.
A dziad służył z jegomością pono w jednym pułku,
Toż ze lżami był witany w Połonieckim kółku.
Gdy się matka oddaliła z dworskimi kobiety,
Stary chwilę upatrzawszy wyjął list z kalety,
Obejrzał się wkóło siebie i podał paniczu,
A powaga mu świeciła na zwiedłem obliczu.
Zda się wiedział całą sprawę, nie była mu skryta,
Toż gdy młodzian liścik czytał, on mu w oczach czyta,
W liście krótkie były słowa, mało znaczną wzmianką:
Wszystko idzie po staremu, strzeż się, będzie branka.
Wartoby rozpuścić szkółkę tę tam twoich kmieci,
Bo dziś-jutro do powiatu anioł-stróż przyleci.
A wiecie wy co to branka? to krwawy podatek,
Który rok w rok Sybir bierze z nadwiślańskich chat.
Oj rozpuścić wiejską szkółkę, oddalić dziewczynę...
Co? dziewczynę? Jan odpowie, Stachu! prędzej zgine.—
I skończyła się rozmowa; czy jej kto podsłuchał,
Czy to wietrzyk od dąbrowy tak smutno zadmuchał,
Czy się jego sercu zdało, sen czy przywidzenie,
Że go z boku doleciało żałosne westchnienie?

W polu cudnie naokoło, cały świat się śmieje,
Nie wie ptactwo śpiewające co się człeku dzieje.
Gdyby ptactwo to wiedziało, zagłuchłoby w polu,
Gdyby słońce to wiedziało, zczerniałoby z bolu,
Gdyby drzewa to wiedziały, straciłyby liście,
Od smutkuby wyschła woda, co świeci srebrzyście.

A może też ptaki boże więcej od nas wiedzą,
I to słońce i te drzewa rosnące nad miedzą.
Śpiewaj, śpiewaj skowroneczku, świeć się jasna woda,
Dusza patrzy smutnym wzrokiem, Bóg jasną przyrodą.
Człowiek myśli, że to wieczne, Bóg wie że doczesne,
Temu ptasie głosy szczerse, a ludzkie bolesne.
Szczęść wam Boże polskie lany, polskie wody, drzewa,
Pobłogosław temu zbożu, co w polu dojrzewa,
Pobłogosław Wiśle naszej, której woda słodka,
I tej duszy niewiedzącej co ją jutro spotka. —

III.

Od poranka ciągną chmury, niebo zaciągają,
Szumią wierzby nad potokiem, k'ziemi się zginają.
Co powieje wiatr szalony, to liściemi zamiecie,
Pokładło się w ślicznych grządkach kalinowe kwiecie.
Leżą zbite nocnym deszczem gwoździki i maki,
Poćwierkują na gałązkach rozpierchnięte ptaki.
Białe żyto leży w polu potłuczone falą,
Na pomokłych piwonijach krople się kryształa.
Tu i ówdzie po niebiosach niebieskiego kawał
W mgnieniu oka przyodziewa chmur ciągnących nawał.
I grzmot słyhać po za wioską od boru, od lasu:
Otóż co się to zrobiło z pogodnego czasu. —
Wczora ślicznie zorza grała, dziś burza i słoty,
Takież to i będzie życie Haliny sieroty.
I czyż ja to Matce Bożej wianeczków nie wiła,
Żebym sobie na wesele słonka nie sprosiła?
W same lato najpiękniejsze biała wędnie róża,
Kiedy serce się weseli, to na niebie burza.
Kiedy niebo się odkryje, chmury z nieba zrzuci,
Biedne serce opuszczone patrzy się i smuci.
Mój Aniele Stróżu złoty porozpędzaj słoty,
A niechże też słonko błysnie na ślubie sieroty!
Tak prosiła Halka miła niebieskiego Stróża.
A tymczasem ponad wioską rosła czarna burza.
Pani matka jej kupiła tyle wstążek krasnych,
Trzy sznurki jej darowała samych pereł jasných.
Co przymierzy perły białe, wstążkę do warkoczy,
To patrzącej przez okienko lżą zachodzą oczy.
I takby się cieszyć rada, a serce jej gada:
Nie ciesz, nie ciesz się dziewczeczko, będzie tobie biada. —
Wied upadła przed obrazem, załamała dłonie,
Jak to zboże położone deszczem na zagonie.

Słów jej brakło, zapomniała Zdrowaś, Wierzę w Boga,
Tylko jakieś odrętwienie, tylko jakaś trwoga
Ogarniała biedne serce niewymownym strachem,
Jakby blizki piorun wisiał nad Janowym dachem.

We dworze się rozlegały różne gwary, śmiechy,
Dziewczę z ziemi się podniosło bez dusznej pociechy.
Oglądała się dokoła jak za czemś przepadłym,
Przelekła się sama siebie stojąc przed zwierciadłem,
Jako róża w wonnym sadzie, jak lilijka biała,
Smutna Halka wyglądała jakby z grobu wstała.
W nocy jej się kwiaty śniły i anielskie pieśni,
Jeno że to co nas czeka, nigdy nam się nie śni.
Kiedy słońce nam się przyśni, burza z snu ocyka,
Mary duszy dzień zagłuszy i wszystko poznika.
Najśliczniejsze zorza gasną w dniowej nie pogodzie,
I nadzieje het popłyną, jako liść po wodzie. —
Popatrzyła Halka nasza w zwierciadło srebrne,
One wdzięki, one stroje, jak jej dziś potrzebne.
Nigdy ona nie myślała jak się zrobić piękną:
Jeno na tę jedną chwilę, gdy razem poklekną:
Mój jedyny taki świeży, a ja taka zwiedła —
Jakby złotą nitkę życia do końca wyprzedła —
Krótka trwoga w młodem sercu, rumieniec ją skraśnił,
A w tej chwili błysk piorunu świetlicę rozjaśnił.
Przestraszona odskoczyła od zwierciadła młoda,
Wtem Jan weszedł do świetlicy, wróciła pogoda.
I wyciągnął ramion dwoje do swej Halki złotej,
Niechże teraz deszcze siekają, niechże huczą grzmoty!

Prędzej, prędzej, Halaś moja, oto twoje drużki,
Do wesela dobre serca, do taneczka nóżki. —
I przeczdrzwi otworzone pokazał jej w dali
Postrojonych dziewcząt troje; co wstążek, koralii!
Głośnym śmiechem się zaśmiały trzy dziewczęta z wioski,
Białe na nich sukieneczki, w włosach złote kłoski;
Za druchnami matka pani złoty grzebień niesie,
Rozbijają się teraz smutku po boru po lesie.
Otoczyły pannę młodą drużki jak anioły,
Radość blyszczą jak słoneczko od twarzy wesołej.
Posadziły pannę młodą jak różę na grzędzie,
A szczebiocą by ptaszyny, jak jej pięknie będzie.

Ta podaje sukieneczkę, druga wstążek wiązkę,
Ta jej niesie rozmarynu, ta myrtu gałązkę;

Zagaduje, przyspiewuje jaskółeczka w strzesze,
Matka złotym jej grzebieniem złoty warkocz czesze.
Wypieknili, wystroili, Halka się spojżała.
Pogasiła drobne kwiatki śliczna lilja biała.
Ktoby poznał sierotęńkę, chłopiankę ubogą,
Same družki, co ją znają, poznać jej nie mogą.
Niechże teraz przyjdą ludzie i niech jej przyznają,
Kiedy takie śliczne dziewczę, że tylko zazdrościć,
Gdy za jeden uścisk słodki choćby roczek pościć.

Szłała się pani matka, gdy jej do nóg padła,
Patrzała się dobra pani, ledwie sobą władała.
Kiedy dziewczę zawołało: o mojaś ty święta!
Ja sierotka przybłąkana, ze śmiecia podjęta,
A wyście mnie przygarnęli, nieba przychyliłi,
Wyście mnie za córkę wzięli, pobłogosławili;
To jakże się ja oderwę od tej twojej nogi,
Moja boska opatrności, mój ty skarbie drogi! —
Całowała ją w kolana, całowała w stopki,
A od łez się zasłaniały młode družki, chłopki.

Wtedy nasza święta pani wzięwszy ją za rękę,
Rzecz: wstańże córko moja, nie mniejsze sukienkę.
To nie nasza w tem zasługa, jeno Bóg tak sprawił,
To nie moja ciebie ręka, lecz on błogosławił.
Widno żeś tak zasłużyła, byłaś dobra, zgodna,
Nikomu nie zazdrościwa, nikomu nie szkodna,
Pokochałaś polską ziemię, modliłaś się za nią,
To i Pan Bóg tak uczynił, żebyś była panią.
Jeno córka moja miła zachowaj to sobie:
Żebyś drugim taką była, jak ja byłam tobie,
Moje dziecko najkochańsze, Hалуś córko moja! —
I tak wyszli jakby z nieba z białego pokoja.

Przeszumiała czarna burza, chmury rzedyły zwolna.
Gdy wracali od kościoła z gromadą narodu,
Z całej Polski sprowadzone grajki grały z przodu.
Co tam było dudek wdzięcznych, co tam było basów:
Nie widzieli tego ludzie z najdawniejszych czasów.
To mi szlachcie co się zowie, to człowiek, to dusza!
I tak cała kompanija od kościoła rusza.
Naprzód, jak się powiedziało, grajki jadą przodem,
Chłopki jadą z młodą panią, chłopci z panem młodym,
Co w sukmance granatowej z kwiatami u boku,
Jedzie sobie najszcześniejszy, wesołego wzroku.

Ksiądz staruszek z matką jadą na ostatniej furce,
Matka to raz się po synu, to spojrzy po córce.
Przyjaciele Jana pędzą po chłopku na koniach,
Rogatywki z pawiem piórkiem, harapniki w dłoniach.
Był Tchórzewski, był Węgierski, Rozmowski, poczciwi,
Gawarecki, Mazurkiewicz, wszyscy dziś nieżywi.
Wszyscy zmarli na wygnaniu albo śród szpitali,
Ci zabici od Prusaków, drudzy od Moskali;
Ci w francuskiej ziemi leżą, drudzy na Sybirze:
Nad polskimi mogiłami konik w trawkach strzyże.
A co komu do tych grobów, do tych polskich kości?
Dziś po chatach szpieg moskiewski i niemiecki gości.

Przyjechali od kościoła warszawskim gościńcem,
Pod te lipy rozłożyste, co stały wieńcem.
Dalej skrzypki, dalej basy, — to mi to zabawa!
Na około woń rozsiewa pokoszona trawa,
Posiadali starzy ludzie, jak gołębie, kołem,
Pani matka coraz stawa przed bieluchnym stołem,
Za nią noszą słodkie miody, za nią noszą piwo,
Coś go człeku tego wieku nie pił jako żywo.
Kołem, kołem po za stołem gospodarze siedzą,
Szklaneczkami słodki miodek jakby złoto cedzą.

Krzeszą ognia podkóweczki, człek się rozwesela,
Dalej skrzypku przepióreczkę! drugi krzyczy: chmiela!
Ażci naraz szmer pobieży pomiędzy gromadą:
Hej chłopacy goście jadą, zdala goście jadą.
Prosim, prosim na zabawę, jeśli ludzie zaci, —
A im więcej dobrych ludzi, weselić się łatwiej. —
Oj! bodajby tacy goście nigdy nie postali:
Na wesele jedzie żandarm i sześciu moskali.
Zatrzymała się muzyka, tanecznicze białe
Poglądały trwożnym okiem wszystkie posmutniałe.
Przed godziną pokraśniała jak jabłuszka winne,
Teraz stoją całe białe i już takie inne,
Jakby mróz te kwiaty zważył, przepłukały deszcze;
Jeno pszczoła lecąc z sioła coś tam brzęczy jeszcze.

Nie opowie w żadnej mowie, ni w żadnym języku,
Nie wyśpiewa w żadnej nucie, nie wykrzyczy w krzyku.
Co się w matki sercu dzieje, gdy jej dziecko wloką,
Choć rzęsił się łez nie leje osłupiałe oko.
Nie opowie bólu żony, jak ją miecz przepada,
Kiedy kowal przywołany kajdany nakłada.

Ni tam krzyku, ni tam wrzawy, rozpacz cicho płynie
Serce wieki przeboleje w tej jednej godzinie.
Oj malują się tam kwiaty krasne na kobiercu,
Każde młotka uderzenie odzywa się w sercu.
Polskie żony, polskie siostry, nieszczęśni rodzice,
Za waszemi dziećmi gonią wrogi przez ulice..
Lżą posiany, krwią zalany każdy polski kątek,
Czyje oczy nie widziały rzezi niemowląt?
Kto zapomni krzywdę braci na moskiewskim rządzie,
Temu mściwy Bóg zapłaci na ostatnim sądzie. —

Przywołali dwóch kowali, kowale krew nasza,
Kowal patrzy na młodzieńca wzrokiem się doprasza:
Jedno słówko, czy znak głowa, a zagrają młoty,
Serca prawe, ręce żwawe chętne do roboty.
Jedno słówko niech wyrzecz, — bagnety na drużgi,
Po dziedzińcu kruk rozwlecz roztrzaskane mózgi. —
Jedno słówko nie wypadło z uśmiechniętych ustek:
Złożył nogę na kowadło, zabrząkło śród pustek.
To i czemuż lży przelewać, gdy wróg krew przelewa?
Na dzień cudu zemsta ludu w cichości dojrzewa.
Nie daremnie krew się leje, lża powieki pławi,
Kropla rosy niedojrzana żelazo przetrawi.

Nim żandarmi pośpieszyli przetrząsnąć dom cały,
Z drobnych listów w jednej chwili został popiół biały.
Jan popalił wszystkie listy, książeczki, notatki,
Toż wesoło zwrócił czoło do stojącej matki.
Już ostatnim przepalonym listkiem wiatr kołysze,
A po pruchnie, nim wiatr zdmuchnie, iskra, „Wolność“ pisze
Przelatują drobne iskry po białym popiele,
Już na dachu niema strachu, dalej przyjaciele...
Snuć dalej złotą przedzę, wróg się nic nie dowie,
Szczęście nasze, w górę czasie, polskiej pieśni zdrowie!

Krótkie było pożegnanie i jakby bez żalu:
Żegnaj matko, żegnaj Janie, nie ciesz się moskalu.
Nie usłyszysz twoje ucho jęku, też rozpacz.
Rozwściekione twoje oko trwogi nie zobaczy.
Kładź na polskie serce ucho ty moskiewski szpiegu,
Serce równem bije tętnem, nie przyspieszy biegu.
Oj nie tobie serce badać, co w niem płynie na dnie,
Jasne lica, tajemnica jak w morzu przepadnie. —
Kiedy Jan się zwrócił k'żonie, moskał ruszył za nim,
I potrząsnął mu nad głową cesarskiem piśnieniem:

Dalej w drogę, panie młody, trzeba z nami iechać,
Nie czas, nie czas panie polak k'żonce się uśmiechać. —
Podpiał kaszkiet dziki moskał, uderzył po szabli:
Droga równa, dobre konie, polecim jak diabli.

Halko moja, bywaj zdrowa, cicho, żadnych płaczy,
O na Boga, moja droga, bo lży wróg zobaczy.
Nic nie wiedzą, nie wysledzą, toż i rychło może
Zaśmieje się dawne szczęście w naszym starym dworze,
Cicho, cicho, gołabeczko, wszak to czas nie wieczny. —
Na te słowa nieszczęśliwą porwał płacz serdeczny.
Poczęła się śmiać tak głośno, wyprężona cała,
Jakby cała ziemia wkoło z boleści się śmiała,
Jakby wszystkie ciemne drzewa uderzyły śmiechem
Śmiech rozlegał się po dworze najsmutniejszym echem,
Śmiech straszliwy, przeraźliwy, aż powstają włosy,
A po śmiechu jęk okrutny i płacz w niebogłosy.
Otoczyły druchny młoda, poniosły na łóżko,
Czas do ślubu, czas do ślubu, prowadźże mnie drużko.
Otoczyli muzykanty na łożu leżącą,
I czemuż jej krakowiakiem żalu nie roztrąca?...
Płacz w świetlicy panny młodej przyciszył się zwolna,
I zasnęła snem kamiennym jak ptaszyna polna;
Czy omdlała, czy zasnęła, czy skołała może,
Bo tak leży sztywna, biała, rzucona na łóżce.

Oj za małoś ty doznała nędzy biedne dziecko,
Oj za małoś ty doznała nędzy na tym świecie!
Zanim dusza się wywlecze z nieszczęsnego cielska,
Musi stać się od łez czysta, niebieska, anielska.

Cisza wkoło, milczy sioło, sercu żyć niechętno,
Gdzie się spojrzysz w szarem polu jak na trumnie smętno.
Pocztarz w trąbkę grzmi blaszaną i konie zacina,
A pocztarską pieśń na trąbce powtarza dolina.
Bryczka leci po gościńcu, chłopskie wozy dzieli,
Jak szatany polecili z nim do cytadeli.

I czyjaż to biała szata, jakby skrzydło biała,
Ode wzgórką za jadącym więźniem powiewała?
I czyjaż to mu pociecha w tej chwili potrzebna,
I czyjaż to wyciągnięta k'niemu rączka srebrna?
Czy to anioł polskiej ziemi, co mogiłek strzeże
Nad krzyżami polskich dziatek śpiwiąc pacjentem,
Czy to jego miła Halka tak ku niemu mruga?
Wyszła postać pochylona, suknia na niej długa...

Ni to anioł, ni to żona, jeno matka siwa,
Ręce w górę podniesione, włosy wiatr rozrywa.
Ode wzgórza wciąż się bieli — wkoło cisza senna,
Anioł bolu, w głuchem polu stoi jak kamienna.

IV.

Słońce wschodzi z poza lasu, doliny wygrzewa:
Szczęśliwe te szare pola, szczęśliwe te drzewa!
Jak to onym dobrze w słońcu, jak się to rozmaga
Ona brzoza pękająca, ona ziemia naga!
Wierzchem już się trawa puszcza, żeży się jak szczotka,
Po tej ziemi nieszczęśliwej wraca wiosna słodka.
Słońce świeci dobrotnie, lecz tam nie przecieka,
Gdzieby było miłosierdziem dla biednego czleka.
Nie zachodzi w czarne ściany onej głuchej wieży,
Gdzie w kajdany okowany smutny młodzian leży.
Dwa lata go dzieli krata od białego świata,
Bez słoneczka, bez słoweczka, oj długie to lata!
Sam do siebie gadać musi, by nie ogłuchł w głuszy,
Żeby jaki głos ze świata, chociażby brzęk muszy.
Poleć, poleć muszko szara, jest ktoś co cię prosi,
Co na rękach i na nogach ciężki łańcuch nosi.
Poleć, poleć muszko szara, zlego ci nie zada,
Napijesz się onej wody, co mu z oczu spada.
A ty czarna jaskółeczko, szczebiotko niegodna,
Nie kręć mi się nad rzeczułką nie zagładać do dna:
Poleć, poleć jaskółeczko pod to okno z kratą,
A przelatuj z nieszczęśliwym aby jedno lato.
Każde rade chwycić szczęścia choć aby okruszek,
Szara muszka szuka miodu, jaskółeczka muszek,
Cały świat za szczęściem goni, od biedy ucieka,
Prócz jednego tylko serca dobrego człowieka.

Na dnie wieży młodzian leży na przegniłej słomie,
I jakby mu już odeszła tęsknota po domie,
I jakby mu już przegrały nadziei piosenki,
Jakby mu już spowszechniały wszystkie świata wdzięki.
Nie spogląda wkoło siebie, nie gada, nie wdycha,
Jak ta płonka kalinowa, co w polu usycha.
Długa broda mu urosła po kolana, czarna,
Ręce wyschły jak te kije do młócenia ziarna.
Noc ponura naokoło, nieprzespana, długa,
Przez okienko kratowane błada gwiazdka mruga.
Czasem miesiąc biały stanie, wypatrzy swe wzroki.

I przesunie cichy, cały, w cichości głębokiej.
Na więzienia, na cierpienia wejrzy okiem smutnem,
I zakryje oczy chmurą jak niewiasta płótnem.
Za falami, za wodami szumią ciemne puszcze,
Za murami, za krzakami sina Wisła pluszcze.
Za wodami, za falami w księżycznej jasności
Wiatr porusza nad wzgórkami pragskich dzieci kości.
Śpij spokojnie, bracie miły, sen smutki łagodzi,
Co tam będziesz myślał o tem, że gdzieś słońce wschodzi.
Masz ty w sobie takie słonko, co się wiecznie błyszczy,
Słonka twego prześlicznego i sam Bóg nie zniszczy,
Śpij szczęśliwie, nim na niwie zabłyśnie poranek,
Zanim brzęknie w polu pięknie piosnka nadwiślanek.
Zimą, latem twoim światem cztery głuche ściany,
W zimie śniegiem Wisły brzegiem cały kraj zawiany.
Kiedy Wisła w biegu stanie, twardym lodem skrzepnie,
Kruk zagłada w twe mieszkanie, skrzydła z śniegu strzepnie.
Hej coś to tam za muzyka, co ją słyszać zdala;
Czyto gruby mur przenika nadwiślańska fala?
Co się nie śni, pieśń po pieśni do duszy się wlewa,
Hej żebyż to widzieć można, kto tak pięknie śpiewa.
Czy po lesie głos się niesie, po rosie, po rosie
Piosnka znana wiatrem wiana: znam cię śliczny głosie.
Czekaj, czekaj, nie uciekaj na dalekie wzgórze,
Znam te głosy z mokrej rosy, powtórzę, powtórzę.
Coraz bliżej, coraz żyżej, cudneż weselisko,
Jak za drzwiami brzmi pieśniami tak blisko! —
Młodzian ze snu obudzony porwie się z pościeli,
Przed oczyma murów nie ma, jasny świat się bieli,
Słońce bije w samo czoło, zda się nad sufitem,
Otoczył go Bóg wokoło najczystszy błękitem.
Jego skroni dźwięcznie dzwoni złotych ptaków wieniec,
Woń zawiewa a lud śpiewa piosnkę wiejskich żeniec.
Oczom swoim nie dowierza, postać w złotej lamie
Jak pod duchną dłoń leciuchną składa mu na ramie.
Nad nią w górze jakby w chmurze moc srebrnych gołębi,
Położyła dłoń na ramię a serce mu ziębi...
Chwycił szatę jej złocistą, w rękach nie zostaje,
Jakby z złotej chmurki tkana, w wietrze się przewiewa.
Spojrzy w oczy blasku pełne, ma drugie słonko,
Matki skronie uwieńczone krągłymi różkami.
Matko moja, postać twoja znikła już mi, znika,
Słońca smugi, twój płaszcz długi i piękny, muzyka

Krótko trwała jasna chwala, ciężki mrak na jawie,
Koło wieży krzyk żołnierzy, krzycza jak żorawie. —

Witaj, witaj błogie lato, pomnę ciebie lato,
 Gdy rzeźwiące weszło słońce nad rolnika chatą:
 Cóż to było wesołości w każdym kątku kraju,
 Na zagonie, na wód łonie i w zielonym gaju.
 Ptaki piękniej szczebiały przyspiewując z góry,
 Złote piosnki się pisały zlocistemi pióry,
 I na każdej ludzkiej twarzy pociecha jaśniała,
 Na żrenicach się błyszczała, w oczach przewijała;
 Było wtedy patrzeć na co od Dniepru do Buga,
 Po wodach się rozbijała jedna piosnka długa,
 Wtórzyły jej po galarach te flisowskie wiosła,
 I do morza piosnka hoża po wodzie się niosła.
 „Jeszcze Polska nie zginęła“, każde usto szepce,
 Od biedaka, co gościńce bosą nogą depce,
 Aż do dworu szlacheckiego, do białych kamienic.
 Oj błyszczała Polska nasza z rozjaśnionych żrenic,
 Każdy sobie szczęście wróżył, że już w progę stoi:
 Gdzie wy bracia mej młodości, towarzysze moi?
 Gdzie wy moje sny pieszczone, gdzie ty polska chato?
 Jakżeż prędko przeminęło moje rajske lato!
 Znowu cicho, znowu głucho, w narodzie rozterka,
 Ledwie, ledwie że się śmieje nadziei iskierka.
 Na mogiłach drogiej braci w liście wiatr szeleszcze,
 Łatoż moje, złote lato, przysnij mi się jeszcze!

Byłci wtedy wielki żołnierz, szkoda że go niema,
 Całą Polskę przebiegało jedno imię Bema¹⁾.

¹⁾ Bem Józef, generał polski (1791 — 1850). Skończył uniwersytet w Krakowie. W roku 1812 pod Gdańskiem został porucznikiem i otrzymał krzyż legii honorowej. Po zreorganizowaniu wojska polskiego, mianowany kapitanem artylerii konnej, był profesorem w szkole artylerii. W r. 1825 wystąpił z wojska. W r. 1830 przybył do Warszawy i był majorem 4 baterii artylerii konnej. Pod Ostrołką został pułkownikiem i otrzymał oznakę „Virtuti militari“. W Warszawie Krukowiecki awansował go na gen.-brigady. W roku 1831 udał się do Francji. W r. 1848 przybył do Lwowa, a w październiku t. r. kierował obroną Wiednia. W wojnie węgierskiej zdobył wielką sławę. W końcu został naczelnym wodzem, lecz już polepszyć sprawy nie mógł. Po wojnie przeniósł się do Turcji, przyjął islamizm i umarł 10 grudnia 1850 roku.

Zdawało się, że to imię z deszczem letnim spada,
 Zdawało się, że to imię martwa ziemia gada,
 Że je szepcą liście drzewa, smug smugu podawa,
 Że nim szemrze rozbawiona po dolinach trawa.
 Z latem nowem nad Krakowem rozbłysły się zorza,
 Srebrna, biała zstępowała jakaś radość boża,
 A od Węgier roznosiły skrzypki i multanki:
 „Polak, Węgier dwa bratanki, do boju, do szklanki“. —
 Takie to niedawne czasy a zda się pół wieku,
 Oj bo długo czas się wleczce takiemu co czeka.

Hej ty Bemie, polski wodzu, złota gwiazdka zbladła,
 Czemu twoja polska dusza od nieba odpadła?
 Nie miałeś ty polskiej wiary, nie uczciłeś wiary,
 I popadłeś polski wodzu między błędne mary.
 Lepiej było zginąć tobie, zagrzebać się w ziemię,
 Jak turecką przyjąć wiarę!... oj Bemie ty Bemie,
 Nieznaleś ty polskich ludzi silnych na niedole,
 Opuściłeś naszą wiarę, nasze złote pole,
 Zbłąkało się serce twoje w godzinie rozpacz:
 Toć już Pan Bóg miłosierny pewnie ci przebaczy
 Tylko zboże potracone, co wschodziło pięknie,
 I twe imię w chałup dymie na lirze nie brzęknie,
 Boś je w naszych sercach zmieszał z tureckim pogaństwem,
 W oczach dzieci i za nie świeci za twoim hetmaństwem...

Car się wylał twojej mocy, wylał twojej sławy,
 I przyleciał car moskiewski jak kruk do Warszawy.
 Zapatrzyła się ojczyzna, słowa rzec nie śmiała,
 I na wodze na tej drodze patrzała, czekała.
 Wyglądali starce biali przed progami chaty,
 Rychło śmiały orzeł biały wleci nad Karpaty.
 Za Tatrami orzeł latał, nie wleciał nad skały,
 Aż spadł w ziemię, oj ty Bemie, oj ty orle biały...

Gdy zobaczył car moskiewski, że orzeł nie wzlata,
 Zebrał wojsko niezliczone z wszystkich końców świata,
 I ciągnęły czarne kruki przeciw orłu w pecie,
 Znowu zima, orla niema i po naszym święcie...

Po gościńcach ciągną tłumy baszkirów, kałmuków,
 Nad krukami moskiewskimi ciągną stada kruków,
 Dudnią działa, Polska cała żołądactwem pokryta,
 Podeptane polskie zboże, pszenice i żyta.
 Ciągnie moskal, za moskalem by czarna żałoba
 Przez ojczyznę się przewłóczy nędza, głód, choroba,

Chaty one spustoszone, krzyk i pomsta boża,
Kruk moskiewski rozdarł gardło od morza do morza,
A w Krakowie przed kościołem, gdzie świętości nasze,
Dziki moskal na polaków poostrza pałasze.
Ostrzą zbójcy szable swoje, lecz są między nimi,
Których moskal pozabierał od chaty, od ziemi.
Kto się wpatrzy w blade lica, których smutek strzeże,
Taki snadnie z lica zgadnie co to za żołnierze.
Lży ich mętne, oczy smętne, boleśń nad powieką,
Niosąc brzemię, depcą ziemię, jak mary się wleką,
Pod moskiewskim karabinem pada jak pod krzyżem.
Zmówcież pacierz polskie dzieci, za takim żołnierzem.
Nie będzie on po chałupach nieszczęścia roznosił,
Nie będzie on z ludźmi gadał, nie będzie on prosił,
Bo mu troska z biednych oczu wygląda żałośnie:
Gdy chleb polski weźmie w usta, to mu w ustach rośnie.

Nie pod każdym burym płaszczem siedzi dusza bura,
Spojrzyj ino jak lży płyną, jak cięży ta skóra;
Zrzucił by on ten karabin i ten płaszcz ze siebie,
Gdyby na nas miłośnierny wejrzał Bóg na niebie.
Po niebiosach smutnym wzrokiem jak męczennik wodzi,
Jasne słońce codzień wschodzi, anioł nie przychodzi.

Krwawe życie, straszne życie, a kto je wypowie?
Ciężkiej doli, naszej doli nie wygada w słowie.
Ciężka dola, polska dola lży poruszy w głazie,
Lżą posiane, krwią polane góry na Kaukazie.
Orzeł kuje ostrym dziobem na polskim czerepie,
Znam was groby usypane w orenburskim stepie.
Czasem zda się świtać zorza śmierci naszych katów,
Gdy piekielne kłatwy rykną pomarzłych żołdatów.
Wolno kłatwy rzucić cierni nad wolnych ruina,
Klną przekłęci niewolnicy i za cara giną. —

Przeszedł moskal przez Karpaty na węgierską stronę,
Plon rolnika z ziemi znika, w nocy widać łonę.
Cisza po tej gór połowie, lecz gdy wiatr powieje,
Słychać jak tam gospodarzą moskiewscy złodzieje.
Lecą, lecą ciężkie dymy od węgierskich równi,
W galicyjskiem polu słysząc zapach świeżych głów.

W jedno rano rozkaz dano, wstrzymały się szyki,
Węgry stoją nad Dunajem: rabiała na sztyki! —
Leci złoty pułk konnicy, jak gradowa chmura,
Elijen! Węgry z jednej strony, z drugiej: hura! hura!
Swisły szable mężnych Węgrów, poszedł krzyk w niebiosy,

Stoczyły się lby moskiewskie jak pod kosą kłosy.
Odpadają jednym cięciem karki od tułowia,
Przelecieli dzielni Węgrzy, lecą mężowie nowi;
Chorągiewki krasno białe furknęły jak ptacy,
Lica jasne, czapki krasne, polacy, polacy!
Ścisnęła się w czworoboki moskiewska piechota,
Zahuczały ciężkie działa, ziemia drży od grzmota.
Od węgierskich armat huczą straszne strzały celne,
W moskwy lesie kula niesie wyręby piekielne.
Po szeregach krzyczą wodze: luzuj, luzuj skoro!
Zmarłych trupy wojsko depce, rannych w tyły biorą,
Ktoby spojrział chłodnym okiem, jak się biją wściekle,
Ktoby patrzył na moskali, myślałby że w piekle,
Taka wściekłość na ich twarzach albo trwoga błada.
Ten co strzelił, ledwie strzelił, chwile się i pada.
Oczy zwierza sen śmiertelny, ręka ziemię chwyta,
Podnosi się by upadać, konający zgryzta. —
W owym tłumie rozwścieklonym lub od trwogi drżącym,
Czyżby lica blask oświeca jakby cudnym słońcem?
Nie poznajesz przyjaciela? śpiesz się zairzeć w oczy,
Nim te oczy tobie znane nagła śmierć zamroczy.
Śpiesz się, śpiesz się przyjacielu, spojrzysz jak się składa,
Nimeś zoczył, sen go zmroczył, chwile się i pada.
Uśmiech usta mu okraślił, padł karabin z ręki,
I nim wieczny sen go zgasił, krzyknął: Bogu dzięki!
A z tem słowem piękna dusza od ciała uciekła,
Zginał polak nieszczęśliwy, dusza wyszła z piekła.
Leże teraz duszo polska, cicha duszo święta,
Anielskimi pióreczkami z ciała wyciągnięta.

Nad doliną zorza świeci, cisza wkoło senna,
Gdzieś ku polskiej stronie leci złota gwiazdka dzienna.
Gdzie nad wodą ponad brzegiem stały wrogów szyki,
Stoją dzielnym tam szeregiem Węgier wojownicy.
Rozstawione w polu straż, widno z szarych łanów;
Cichy wietrzyk z pola dmucha w proporce hułanów;
„Jeszcze Polska nie zginęła“, słysząc pieśń na błoni,
Szczęsny komu ta piosenka w wolnym polu dzwoni.
Szczęsny polak co ją słyszy nad wrogów upadkiem,
Szczęsny, kto był takiej chwili choć raz w życiu świadkiem
Od zagonu do zagonu hułani się włóczą,
Przeglądając po tornistrach czym się wrogi juczą.
Leży żołnierz na zagonie, krew wyciekła z rany,
Obrazek mu Matki Boskiej widać z pod sukmany,
Na blasze się pozostała reszta złota blasku,
Oj poznali nasi bracia brata po obrazku.

Smutnem okiem spoglądała dzielna wiara nasza,
Wyciągnęli mu ładunki bracia z patrontasza,
Wyciągnęli, popatrzyli na ładunki one,
Proch posypał się z papieru, kule odgryzione,
Znać ślepemi ładunkami do swych braci strzelał,
Zginał, zginał polak prawy, bratniej krwi nie przelał.
Żal serdeczny objął dzielną polską naszą wiarę,
Popatrzyli na żołnierza, na smutną ofiarę.
Chłodne czoło wietrzyk gładzi, szmat na piersiach wzrusza
Zostało się polskie ciało, poszła polska dusza...

Któż to zdąża z poza wzgórza towarzysze mili?
Czyjaż się to postać biała nad trupami chyli?
Czyjaż postać od zagona zdąża do zagona,
Markietanka, czy kochanka, czy żołnierska żona?
Hej to nasza Halka młoda patrzy w trupie lica,
Zwiedła lica jej jagoda, włosy wiatr rozchwycił.
Przybliżyła się nieśmiało do polskich żołnierzy,
Gdzie jej miły Jan kochany cały we krwi leży.
Załamala białe dłonie i upadła krzyżem,
Nad polakiem nieszczęśliwym, moskiewskim żołnierzem:
Nieszczęśliważ moja dola, oj biednaż ja młoda,
Niech się zbliżę k'czystej wodzie, wyschnie czysta woda!
Komuż to tak smutno grają na trąbkach trębaczę?
Nad kimże to polska wiara łyzy rzewnemi płacze?
Komuż, komuż postawili krzyż cierniem obwity?
Pod mogiłą leży w polu męczennik zabity;
Słońce wschodzi nad mogiłą, wiatr na groby leci,
Polskie serce się świeciło jak to słońce świeci;
Zginał polak nieszczęśliwy wśród wrogów bez chwały,
Białe słońce patrzy z góry, jakby anioł biały.
Skowroneczek wzlata w górę, nad mogiłą nuci!
Kędyż takie ludzkie serce co się nie zasmuci!

Pochwyciła Halka ziemi, do nieba podniosła:
Jeśli ciebie ja zapomnę, bodajm w ziemię wrosła!
Przysięgała Halka młoda, Bóg przysięgi słucha...
Ponad głowy krzyż brzoźowy i mogiła głucha.

VI.

Przemijają szybko lata w szczęściu czy w niedoli,
Długo boli ludzkie serce, lecz w końcu przeboli;
Czasem zda się, że przeboli straszny palec boży,
Wiatr powieje od mogiły, rana się otworzy.

Oj nie śpiewaj smutna duszo, nie dowierzaj sobie,
W serce wryty ból ukryty skończy się aż w grobie. —
Powróciła Halka młoda między swoich ludzi,
Cudne lice wzrok zachwyca, miłość w sercu budzi.
Przygarnęli biedną wdowę, chatę jej otwarli,
Nędzę biedy opatrzyli, z oczu łyzy otarli,
To i jakże wdzięczne serce wdzięczność ma utracić,
To i jakże dobre serce sercem nie zapłacić?
Uśmiechnęła się Halina serce drgnęło żarem,
Związała się dusza cała jakby jakimś czarem,
Wyciągnęła k'szczęściu dłonie i w tej samej dobie,
Jakby anioł ją uderzył siedzący na grobie,
Jakby jego skrzydło złote po duszy powiało,
Zapatrzyła się na ludzi twarzą skamieniałą;
Cudne światło w oczach zgasło, co świeciło we sny,
Tylko żarzy się na twarzy jej uśmiech bolesny,
Tylko jedno cichym głosem dnem i nocą woła:
Niegdyś żywa ja szczęśliwa kochałam anioła.
Na pytania dobrych ludzi wciąż im jedno gada:
Ja anioła pokochała, to biadaż mnie biada...
Tam daleko na mogile zgasło moje zorze,
Kto był szczęśny choć na chwilę zapomnieć nie może. —
Kto wyciągnie do niej rękę, nie pomyka ręki,
I w nagrodę śpiewa młode dawnych lat piosenki:
Danaż moja dana, dana... i piosenkę utnie,
I spogląda tak wesoło, a tak strasznie smutnie,
I wraz zlecą łyzy rzesiste i ciężkie westchnienia,
A tak martwo jak nie z piersi, jak gdyby z kamienia. —
Jednej nocy burza grzmiała, srogiem gradem siekła,
Biedna Halka oszalała, od ludzi uciekła.
Próżno za nią rozesłali po gościńcach gońce,
Pustą izbę biednej wdowy oświeciło słońce.
W niepogodę słońce błysło, zgasło w niepogodę,
I przepadła sieroteńka jakby kamień w wodę.

Cichym krajem nad Dunajem stary lirlnik kroczy,
W Dunaj lśniący, w strumień rwący wpatrzył smutne oczy
Środkiem wody płynię dziewczę w sukieneczce białej,
Kalinowy liść z jej głowy fale oberwały,
Białe róże płyną za nią oderwaną falą,
Szare ptaszki nad umarłą w powietrzu się żala,
Zimne oczy fala mroczy w słonecznej pogodzie,
Popłynęło młode dziewczę jak listek po wodzie.

Niema Halki, niema Jana, szumi wróg po kraju,
Wietrzyk leci, słońce świeci po modrym Dunaju,

W polu piosnka smutna dzwoni od brzegu do brzegu,
Po pagórkach się rozbija, po wodzie rozlega:
„Oj pogonia ich, pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonią dzwony Kołomyi“.

Z A K O Ń C Z E N I E .

Staął lirnik mazowiecki na łomnickiej górze,
Rozwiała się siwa broda w owej siwej chmurze:
A co po mnie, co po tobie liro mazowiecka,
Coś mi w życiu przygrywała od małego dziecka.
Liro moja, polskiej pieśni już ja nie zanucę,
Szanuj Dunaj nad górami, już cię chyba rzucę.
Dziecko moje ukochane idź już precz odemnie,
Nie pomogą twoje żale, daremnie, daremnie!
Niech cię aby raz ostatni do serca przygarne,
Nim polecisz, liro moja, na te fale czarne.

Hej ty dziadu, słyhać głosy nad szarą Łomnicą,
Karpacki to krzyczy orzeł z karpacką orlicą,
Co po jasnym lecą niebie; cień od skrzydeł pada;
Zakrzyczały orły siwe na starego dziada!
A czy wiesz ty przekłębiku co się w sercach dzieje?
A straconaż twoja dusza! gdyś stracił nadzieję. —

Polskie głosy, szumne głosy, jęknął dziad ubogi,
Wkoło góry, skały, chmury i dalekie drogi...
Orły moje, nędze, znoje, mnie już kończyć trzeba,
Latacie wy po niebiosach, dajcież kawał nieba...
Nie chcę chleba, nie chcę soli, ni żadnej jałmużny,
Jeno proszę o spoczynek ubogi podróżny. —
Nad szaremi Karpatami polskie orły kraczą:
Nie zamkną się oczy twoje, aż Polskę zobaczą. —

Polska! Polska! miły Boże! oko we łzach staje,
Schyli ucho do lirenki, lira brzęk wydaje;
Złożył palce na klawiszach a karpackie skały
„Jeszcze Polska nie zginęła“, hucznie odebrzmiały.
Zaśpiewały niskie chaty w podkarpackiej kniei,
Niema żalu bez pociechy, życia bez nadziei;
Za młodziana, za dziewczynę westchnie lirnik z duszy,
I ojczystą lirę niesie pod szalas pastuszy.
Szumią świerki nad Dunajem, szumią nad szalasem
Została się polska lira z chłopem skotopasem.



Wolna Biblioteka Polska.

1. SŁOWACKI J. Rozmowa z Matką Makryną Mie-
czysławską —.15
2. MOCHNACKI M. Noc dnia 29 Listopada 1830 r. —.15
3. CEISINGERÓWNA H. H. Szymon Konarski
(1808—1839) —.15